

Wspomnienia ze stoczniowych delegacji i nie tylko z delegacji

Władysław Goliński

Ustka 2022

Spis treści

Degradacja Dyrektora.....	3
Marne próby w Stoczni Gdańskiej.....	4
Nowe łodzie ratunkowe.....	5
Wspomnienie pierwsze.....	5
Wspomnienie drugie.....	6
Orzeszki ziemne.....	7
Tłumaczenia.....	8
Wspomnienie pierwsze.....	8
Wspomnienie drugie.....	8
Ugoszczenie inspektora.....	10
Wspomnienie pierwsze.....	10
Wspomnienie drugie.....	11
W Malmö.....	12
Wspominki wakacyjne 2.....	13
Wspomnienie pierwsze.....	13
Wspomnienie drugie.....	13
Wspominki wakacyjne.....	14
Wspomnienie pierwsze.....	14
Pierwsza indyjska anegdota.....	14
Wspomnienie drugie.....	14
Wspomnienie z Malmö.....	15
Wspomnienie z zimnej Moskwy.....	16
Wyjazd do Moskwy.....	17
Za krótkie nity.....	18
Ze Słowacji, wspomnienie pierwsze i moje ostatnie.....	19

Degradacja Dyrektora

Stocznia Ustka miała dużo stanowisk kierowniczych. Nie sposób jednak, aby na tych stanowiskach był jakiś wakat- wszystkie kierownicze stanowiska były przez cały czas obsadzone. Kiedy przyszło przyjąć do pracy zwalnianego w innym przedsiębiorstwie okrętowym zdegradowanego dyrektora naczelnego to postępowano z reguły tak, że stwarzano dodatkowo jakieś mniej lub bardziej potrzebne stanowisko pracy.

I tak się zdarzyło zwolnienie z funkcji dyrektora naczelnego siostrzanej firmy, przygotowano więc w stoczni odpowiedni pokój i powierzono mu jeszcze niezbyt odpowiedzialny zakres obowiązków. Po poprzedniej pracy „dyrektor” tu się po prostu nudził. Ale potrafił dobrze urozmaicić czas słuchającego go rozmówcy. Umiał perfekcyjnie opowiadać anegdoty i dowcipy.

W stoczni znalazł sobie metę i znalazł słuchacza urozmaicając mi czas w „mojej” bibliotece. Miałem po pierwszym dniu tego dosyć, bo dyrektor zabierał mi czas i nie mogłem się skupić na moich zajęciach. Postanowiłem podjąć z nim walkę. On pewnie będzie mi opowiadał śmieszne kawały a ja nie będę się z nich śmiał.

Nadszedł następny dzień i dyrektor o zwykłej porze przyszedł do biblioteki i jak poprzednio zaczął od anegdot takich sobie śmiesznych, ale widząc, że się nie śmieję skupił się i dołożył mi prawdziwymi perełkami. A ja nic. Ani się nie uśmiechnąłem. No i dyrektor poszedł do swojego pokoju z kwaśną miną. Ja natomiast poszedłem do sekretariatu po przepustkę, bo musiałem w domu zmienić obsikane spodnie.

Nadszedł następny dzień i dyrektor o zwykłej porze przyszedł do biblioteki i jak poprzednio zaczął od anegdot naprawdę bardzo śmiesznych. Czułem się jednak tym razem mocny, miałem bowiem w spodniach włożoną dużą złożoną chustę. Słowem czułem się zabezpieczony. Było znać specjalne przygotowanie dyrektora, gdyż dowcipy nie powtarzały się i były rzeczywiście śmieszne. Ja jednak ani razu się nie roześmiałem. Smutny dyrektor wyszedł z biblioteki, a ja musiałem jedynie w toalecie wyjąć ze spodni i wypluć starannie chustę. Czułem się wygranym w tym pojedynku.

Marne próby w Stoczni Gdańskiej

Kradzieże wyposażenia łodzi przekazanych ze Stoczni Ustka już do innych krajowych stoczni były straszną zmorą gnębiącą przede wszystkim dział kontroli jakości i dział handlowy. Głównie chodzi tu o takie wyposażenie jak np. kompas z importu- kiedyś kupno kompasu z zagranicznej firmy ze strefy dolarowej było niesłychanie skomplikowaną i kosztowną imprezą.

Razu pewnego ktoś ukradł kompas z łodzi ratunkowej przekazanej już Stoczni Gdańskiej. Pierwszą reakcją mistrza odpowiedzialnego za wyposażenie ratunkowe w Stoczni Gdańskiej było zrobienie awantury, że Stocznia Ustka nie przekazała kompasu zamontowanego na łodzi, a kiedy ten numer nie przeszedł i Stocznia Ustka udowodniła swoją niewinność to następowała straszna zemsta Pana Mistrza dokonana na Stoczni Ustka np.: przy okazji prób zrzutu swobodnego ze statku.

Próba zrzutu odbywała się w obecności inspektorów morskich towarzystw klasyfikacyjnych i inspektorów Administracji. Wtedy to gdy łódź podlegała starannym oględzinom mistrz ze Stoczni Gdańskiej wyciągał wszystkie drobiazgi stanowiące niedociągnięcia na sprawdzanej łodzi- Mistrz mówił: o to i jeszcze to..... No i wtedy okazywało się zaraz, że koszty usunięcia tych niedociągnięć stanowiło krotność wartości kompasu.

Nowe łodzie ratunkowe

Wspomnienie pierwsze

Stocznia Ustka z początkiem lat 90- tych XX wieku rozpoczęła produkcję nowych łodzi ratunkowych i ratowniczych. Łodzie ratunkowe opuszczają macierzysty statek przez zrzut (zjazd po rolkach specjalnego urządzenia i zrzut łodzi, w której załoga siedziała w fotelach i była zapięta pasami podobnie jak w samochodach). Łodzie ratownicze o otwartym pokładzie były opuszczane grawitacyjnie (bez dodatkowego napędu) z załogą na pojedynczej linie. Posadowiano łodzie na najwyższym pokładzie statku, pokładzie ratowniczym, od pokładu ratowniczego do lustra wody było często więcej niż 20 m, a więc kilkanaście pięter budynków mieszkalnych.

Próby opuszczania łodzi ratowniczej odbywały się zawsze z załogą, łódź ratownicza z Ustki miała 4,60 m długości całkowitej. Chociaż nie byliśmy przeszkoleni alpinistycznie to na pierwsze próby, które wypadły w Gdyni, wyznaczono Stacha i mnie. Przyszedł do nas kierownik biura i poinformował nas o próbach, o tym że jesteśmy wyznaczeni, poinformował o wysokości nagrody jaką otrzymamy jeśli wyjdziemy z tego z życiem. Poprosił nas abyśmy bezpośrednio przed próbami nie pili alkoholu. Tu wtrącił się nasz kolega z pracowni i oświadczył, że tego na trzeźwo zrobić się nie da.

Już w pociągu jadąc z Ustki do Gdyni byliśmy dokładnie urzęnięci. Jednak udało się nam wcześniej ustalić kto w łodzi odpali silnik (ja to miałem zrobić), zanim jeszcze łódź będzie pływała i kto odzepi talię (Stachu) jak już łódź znajdzie się tuż nad wodą ale jeszcze nie będzie miała pełnego normalnego zanurzenia. Łódź można wyczepić z podwieszenia na każdym etapie opuszczania ale jak to wyczepienie będzie za wcześnie to nastąpi swobodne spadanie łodzi z załogą siedzącą w otwartym kokpicie i to będzie niedobrze. Jeszcze wchodząc po trapie na statek mieliśmy pewne wątpliwości czy wejdziemy do łodzi o własnych siłach czy zwyczajnie poprosimy kogoś o pomoc. Dobry los jednak przyniósł swoje rozwiązania- statek nie wyszedł z przyczyn technicznych w morze na próby i termin prób został przeniesiony. Bosman odpowiedzialny za przeprowadzenie prób zdziwił się, że na takie trudne próby przyszliśmy tacy pijani. Stachu wyjaśnił jednak bosmanowi, że tego na trzeźwo zrobić się nie da.

Wspomnienie drugie

W stoczni w Belfaście zaczęto robić statki dla polskiego armatora. Urządzenia ratunkowe na tych statkach pochodziły jednak ze Stoczni Ustka. Montaż urządzeń w Belfaście wymuszał dość częsty udział serwisowy z Ustki, chodzi głównie o nadzór inżynierski. Droga do Belfastu często wiodła przez Londyn.

Oczywiście być w Londynie i nie zwiedzić miasta to nie mogło mieć miejsca. Znaleźliśmy się w Londynie obaj z Tadeuszem, jeśli idzie o języki obce to Tadeusz dobrze znał angielski w mowie i piśmie, ja bardzo dobrze znałem rosyjski w mowie i piśmie. Słowem nie było tak źle.

Wpadliśmy na nowy sposób zwiedzania miasta. Potrzebna do tego była mapa miasta i piętrowy autobus, których w Londynie było bardzo dużo. Ponieważ zupełnie nie znaliśmy miasta to padło na przypadkowy wybór linii. Weszliśmy do pierwszego z brzegu autobusu i zajęliśmy miejsca obok siebie na piętrze. Tadeusz wyjął mapę i śledził przebieg trasy, ale że w autobusie się źle czyta mapę bo trzęsie to nastąpił podział ról- miałem odczytywać nazwy ulic, przy skrzyżowaniach, na których skręcaliśmy w nową ulicę. Musiałem dość głośno odczytywać nazwy ulic aby Tadeusz mógł usłyszeć je ze względu na zagłuszający szum ulicy.

Już na trzecim skrzyżowaniu poczułem się bardzo nieswojo. Anglicy nie są wścibscy, niewiele rzeczy potrafi ich zaciekawić. Już na trzecim skrzyżowaniu oczy wszystkich pasażerów autobusu były we mnie utkwione w oczekiwaniu na usłyszenie nowej nazwy ich starej ulicy.

Orzeszki ziemne

Zaraz po II wojnie światowej port w Ustce został starannie ogrodzony i w ogrodzeniu były bramy, których przekraczania bronili wartownicy z karabinami.

Pracowałem w tamtym okresie w stoczni i dorabiałem do pensji przy rozładunku statków. Na całym świecie istniał zwyczaj podarunku towarów rozładowywanych. I tak jak się rozładowywało statek z pomarańczami to podarunkiem na koniec pracy były te pomarańcze w ilości kilkunastu sztuk.

Tak się złożyło, że rozładowywałem statek z orzeszkami ziemnymi. To pozory, że to łatwe, ale w przypadku jakby się wpadło w ładownię wypełnioną orzeszkami to można by było pogrążyć się tak jak w bagnie. Wprowadziłem nowelizację polegającą na położeniu na orzeszkach płasko dużej deski, która służyła za kładkę.

Gdy skończyliśmy pierwszego dnia pracę to dostaliśmy orzeszki, które wsypałem do niedużej torby. Od tej chwili to były nasze orzeszki a przy przekraczaniu bramy strażnik kazał nam pokazać co mamy w torbach i zarekwirował nam te nasze orzeszki- jego zdaniem nie można było niczego wynosić z portu???

Do rozładunku następnego dnia przystąpiłem już z gotowym pomysłem co zrobić z otrzymanymi w prezencie orzeszkami ziemnymi. Otóż już w domu przed wyjściem do pracy założyłem kalesony, które na dole miały wiązania zamykające przestrzeń wewnętrzną. Strażnik o tym nie wiedział i nie kazał się nam rozbierać przy przekraczaniu bramy portu. To był mój pierwszy racjonalizatorski wynalazek.

Tłumaczenia

Wspomnienie pierwsze

Stocznia Ustka od samego początku istnienia miała wielu tłumaczy. Najpierw dlatego, że Kaszubi prawie wszyscy mówili po niemiecku oprócz gwary kaszubskiej i języka polskiego oczywiście. Technikum Budowy Okrętów w Gdańsku wypuszczało ludzi mówiących po angielsku, Politechnika Gdańska dawała również absolwentom znajomość języka angielskiego a czasem i dodatkowych języków jak hiszpańskiego. Stocznia Ustka stała się bardzo wczesnie kolebką tłumaczy na wiele języków, tłumaczenia a właściwie zapłata za tłumaczenia była możliwa przez rozliczenie najpierw tylko przez NOT, później również przez własną Spółkę tłumaczy. Zostałem pierwszym prezesem w naszej spółce tłumaczy.

Najbardziej atrakcyjne finansowo były tłumaczenia ustne, bo płatne od godziny, niezależnie czy się gadało czy się nie gadało.

Wynajęli mnie moi koledzy (ze specjalną zniżką, oczywiście) abym im pomógł w uzgodnieniach w sprawach organizacyjnych maratonu, w którym oni brali udział, a który odbywał się w Lipsku, dawniej NRD. Nie trzeba tam było długo pracować i moi koledzy poszli na start a ja przecież musiałem coś z sobą zrobić. Poszedłem do piwnicy, gdzie pili piwo. No i tak od kufla do kufla z jednym i drugim znajomym, i tak od szklanki do szklanki- zerwał mi się film.

Zbudziłem się ze strasznym bólem głowy, okno było otwarte, ptaki za oknem głośno śpiewały, pościel pachniała, pokój miał francuską tapetę w kwiaty o delikatnym wzorze. To wszystko w koło było dziwne. Wyszedłem z łóżka tylko po to aby się zapytać gdzie jestem i co ja tu robię.

Okazało się, że jestem w szpitalu, tak przynajmniej twierdziła po niemiecku starszawa już siostra. Powiedziałem oburzony (również po niemiecku chociaż z języków obcych znałem tylko angielski- może wczorajsze nauki nie poszły w las), że przecież nie jestem chory do jasnej cholery. Ona, ta siostra na to, że wczoraj jak mnie tu przywieźli to byłem bardzo chory. Lekarz ma być o pierwszej to zadecyduje co i jak dalej.

Lekarz mi wyjaśnił po angielsku, że w stosunku do mnie podjęto standardowe działanie bowiem zgłoszono z milicji, że stałem na ulicy i zatrzymałem tramwaj, ponadto byłem bardzo uparty i nie sposób było ze mną nijak się dogadać. Cały czas chwiałem się na nogach ledwie łapiąc równowagę. Ambulans zabrał mnie w tej sytuacji do szpitala. Koszty leczenia szpitalnego pokrywa państwo. Jednak cały opis zdarzenia jak i opis mojego zachowania w szpitalu będą przesłane do mojego zakładu pracy. Tu się zmartwiłem nie na żarty. Pokryłem natychmiast koszty leczenia i nie podałem adresu mojego zakładu pracy. Koszty mojego leczenia pozbawiły mnie wszystkich pieniędzy- całego mojego zarobku. Wspomnienia z maratonu jednak pozostały.

Wspomnienie drugie

Często otrzymywaliśmy zlecenia na duże tłumaczenia przez NOT w Słupsku. Duże tłumaczenie to duża wypłata za tłumaczenie, obie te rzeczy chodziły bowiem w parze. To tłumaczenie o którym teraz mówię miało jeszcze wypłatę w gotówce co mnie pchnęło do restauracji Cechowej w Słupsku. Po tym wszystkim dość nieswojo się czułem i postanowiłem jechać taksówką do Ustki.

Mieszkałem już we własnym domu na obrzeżach zachodniej Ustki. Podjechaliśmy drogą, która w ostatniej fazie była drogą gruntową (tak jest tam jeszcze dzisiaj), trzeba teraz było podjechać pod mój dom, jakieś 30m- 35m. Taksówkarz jednak się zbuntował i powiedział, że tam nie wjeżdża bo straci

zawieszenie a to jakby nie było jedyny pojazd jaki ma. Odmówiłem stanowczo zapłaty za kurs, bo moim zdaniem zlecenie nie zostało zrealizowane. Wywiązała się kłótnia i taksówkarz zawiózł mnie na komisariat policji.

Oficer dyżurny nas wysłuchał i w końcu się mnie pyta: to jak zapłaci pan za kurs czy pan nie zapłaci? Powiedziałem, że w tej sytuacji nie zapłacę, a jeszcze do tego wszystkiego jestem na policji. Taksówkarz pojechał do Słupska a ja poszedłem do domu. I tak na razie się skończyło.

Na drugi dzień, gdy koledze miałem wystawić fakturę z naszej firmy okazało się, że nie mam żadnych dokumentów, nie mam pieczętki firmy, nie mam mojej teczki, nie mam pieniędzy. Po przemyśleniach się okazało, że teczka została w taksówce. Poszedłem na policję, tam uzyskałem numer taksówki słupskiej, pojechałem do Słupska, długo czekałem na postoju za tą taksówką, zapłaciłem cenę umowną za wczorajszy kurs, przeprosiłem taksówkarza i przyjechałem autobusem do Ustki z moją teczką.

Ugoszczenie inspektora

Wspomnienie pierwsze

Stocznia Ustka od samego początku istnienia miała wielu tłumaczy. Potrzebni stoczni byli tłumacze do tłumaczeń dokumentacji opisowej projektów i do tłumaczeń przy próbach odbiorowych wszystkich wyrobów stoczni z próbami z obecnością inspektorów morskich towarzystw klasyfikacyjnych i obecnością inspektorów Administracji wielu krajów. Uzgodnienia techniczne i handlowe również stocznia prowadziła w kilku językach.

Miałem za zadanie służyć jako tłumacz (normalnie pracowałem w pracowni kadłubowej Biura Projektowego Stoczni Ustka) przy zaplanowanych na piątek próbach prototypowych łodzi ratunkowej. Byłem przydzielony inspektorowi Lloyd Register of Shipping, który przyjechał z Head Office, z Londynu. Od samego początku wszystko szło źle. Okazało się, że przedstawiciel Administracji (statek miał pływać pod banderą UK, więc w tym przypadku był to inspektor Department of Transport, również z Londynu) potwierdził swoją obecność na próbach, na poniedziałek. Porządek był taki, że nic nikt nie wiedział. W końcu zapadła decyzja, próby będą w poniedziałek, wspólne dla wszystkich inspektorów w tym również od razu dla Germanischer Lloyd i See Berufsgenossenschaft. Dobrze, ale Anglik z Lloyd'a już tu był i nie miał rezerwacji na hotel do poniedziałku a było lato. Lato w Ustce w końcu lat 70- tych XX wieku nie dawało szans na znalezienie gdzie bądź noclegu.

Dali ze stoczni samochód służbowy i Anglik i ja z kierowcą pojechaliśmy po wszystkich hotelach zasięgnąć języka. Próżny to był trud. Dzwoniłem więc do stoczni z ostatniego odwiedzanego przez nas hotelu- Zajazdu Bałtyckiego. Oni na to, że zaraz koniec pracy, nic na to poradzić nie mogą. Mogę przecież jeszcze spróbować w Słupsku. Ale my w Słupsku już byliśmy.

Zdecydowałem się w tej sytuacji na przyjęcie Anglika w moim nie najmniejszym zresztą mieszkaniu. Miałem mieszkanie M3, dwupokojowe z kuchnią, łazienką, ubikacją i przedpokojem. Pokoje były bardzo małe, miałem żonę i dwoje dzieci- dziewczynkę i chłopca. Na szczęście miałem zaprzyjaźnionych sąsiadów i na te dwie noce dzieciaki poszły spać do sąsiadów. Anglik spał w jednym pokoju a ja z żoną spaliśmy w drugim. Byłem wściekły bo miałem w planach na te dni wolne zakończyć pilne i terminowe tłumaczenie do NOT w Słupsku.

W sobotę zwiedziliśmy dokładnie Słupsk i pojechaliśmy do skansenu w Klukach. W niedzielę pochodziliśmy po Ustce i Anglik zaprosił mnie z żoną do Zajazdu Bałtyckiego na uroczysty obiad. Atrakcją wieczoru jednak nie był sam obiad a sposób picia polskiej wódki przez naszego gościa. Po pierwsze moja żona i ja piliśmy po całym kieliszku wódki. Anglik pił po pół kieliszka wódki. Po drugie po każdym wypiciu swojej połowy kieliszka Anglik wstrząsał się tak jak wstrząsa się pies po kąpieli w jeziorze.

Po zakończonym obiedzie chcieliśmy pojechać taksówką do domu. Nie jest to przecież daleko ale nasz gość był zwyczajnie urzęnięty. Taksówkarze nie chcieli go jednak zabrać bo się bali, że im zarzyga samochód. Jakoś doholowaliśmy Anglika do bloku ale nasze mieszkanie było na drugim piętrze. Na szczęście mój sąsiad Roman wracał do domu i pomógł. Żona poszła poprosić o pomoc sąsiada Wojtka i otworzyła drzwi mieszkania. Nieśliśmy Anglika poziomo na boku tak aby na zakrętach nogi mogły się właściwie, normalnie wyginać ze względu na brak miejsca na schodach. Położyliśmy Anglika w ubraniu do łóżka, zdjąłem mu tylko buty. Miał z sobą jeszcze dwie marynarki i trzy pary spodni, ubranie, które miał na sobie mogło się pognieść.

Jeszcze w niedzielę wystawiłem rachunek stoczni za całokształt, z wyszczególnieniem poszczególnych pozycji rozrachunkowych. Dyrektor w poniedziałek rachunek zatwierdził nie patrząc nawet na ogólną kwotę faktury. Próby w poniedziałek poszły jak z płatka bo Mój Gość opowiadał wszystkim obecnym inspektorom co go tu spotkało przez ostatnie dwa dni. Inspektorzy słuchali go chętnie mało interesując się przebiegiem samych prób. Do mnie z NOT- u co chwilę dzwonili i pytali czy już kończę to ich tłumaczenie.

Wspomnienie drugie

Budziło mnie szarpanie za kołnierz. Była to wczesna wiosna. Jak otworzyłem wreszcie oczy to zobaczyłem milicjanta, który to mnie właśnie szarpał. Gdy zobaczył, że kontaktuję to tak przemówił: panie Wicki śpi pan na ławce. A na ławkach w Ustce nie wolno spać. Proszę, niech pan idzie do domu.

Szybko połapałem się w czasie i w przestrzeni. Był wczesny ranek a ławka, na której spałem stała koło latarni morskiej w Ustce. Pamiętam natomiast dość dobrze początek imprezy w NOT w Słupsku, miał on miejsce chyba wczoraj z pewnością po południu.

W Malmö

Kierownictwo w Stoczni „Ustka” w okresie od początku lat 70- tych XXw. popierało uprawianie żeglarstwa a szczególnie żeglarstwa pełnomorskiego. Chodziło o to, aby pracownicy praktycznie oswajali się z zachowaniem jachtów na morzu i ponadto nabywali wiedzy językowej w kontaktach bezpośrednich z naszymi morskimi sąsiadami.

Aby wypłynąć w rejs trzeba było należeć do klubu żeglarskiego i tam należało się udzielać w odpowiedniej pracy. Trzeba też było mieć dostatecznie długi urlop potrzebny na czas rejsu. Trzeba było wcześniej kupić sztormiak....

W takim rejsie po portach bałtyckich przybyliśmy do nabrzeża w porcie Malmö i zaraz po odpowiednim przygotowaniu jachtu do postoju w porcie poszliśmy na spacer po starówce mieszczącej się blisko portu. Nie znaleźmy języka angielskiego ani tym bardziej szwedzkiego. Kapitan znał niemiecki, ale poszedł gdzieś dalej, na pocztę, aby z kolegą umówić się telefonicznie w Hamburgu.

Po przejściu paru ulic zgodnie stwierdziliśmy, że najwyższa to pora na wypicie porannej herbaty. Weszliśmy do pomieszczenia, które jak sądziliśmy było kawiarnią. Zaraz też udało się nam zamówić herbatę u takiej niezbyt starej kobiety. Nalała ona nam zalewając esencję w filiżance wodą z czajnika. Zaraz też po schodach zeszło kilka pań dość skąpo ubranych jak na taki chłodny dzień.

Wypiliśmy herbatę przez cały czas uśmiechając się do kobiet siedzących przy sąsiednim stoliku, one też się uśmiechały słowem było miło. Kiedy jednak wypiliśmy po pierwszej herbacie to zaczęliśmy zbierać pieniądze, aby starczyło nam po drugiej herbacie. Widząc to starsza pani wyszła ostentacyjnie z pomieszczenia na ulicę.

Po chwili weszła do „naszego” pomieszczenia prowadząc za sobą jakiegoś starszego mężczyznę. Ten przywitał się z nami po polsku i powiedział: panowie jak chcecie wypić herbatę to idźcie do kawiarni, która jest blisko za rogiem; tutaj jest INTERES.

Wspominki wakacyjne 2

Pomimo, że Stocznia Ustka miała swój własny ośrodek wczasowy koło Miastka w Świeszynie. Jeździłem z rodziną do środka lasu nad Jezioro Bobięcińskie.

Wspomnienie pierwsze

Na wybranym miejscu zwanym przez tubylczą ludność (czytaj stałych letnich gości) Lazurkowym Wybrzeżem, spotykali się starzy znajomi, od lat tu właśnie rozbijający namioty. Spędzali tu czas urlopowy z rodzinami również dwaj starsi oficerowie Ludowego Wojska Polskiego. Byli zawołanymi wędkarzami. Odwiedzał nas od czasu do czasu rybak, pan Jasiu.

Chodziło o łowienie ryb w jeziorze, oddalonym od Jeziora Małego Bobięcińskiego i tak samo od Jeziora Bobięcińskiego o ok. 2 km. To blisko ale droga wiodła przez półbagnisty teren gęsto zalesiony krzewami i drzewami. Wezwanie aby tam połowić ryby było bardzo silne, nawet zagadnięty pan Jan powiedział: tam nikt nie łowił od wielu, wielu lat, tam to muszą być ryby.

Wspomnienie drugie

Stracili nasi wojskowi całe przedpołudnie aby przeciągnąć łódkę przez ten trudny teren. Kiedy popłynęli nieco od brzegu to się okazało- nie było tam ryb, nie było żab ani nawet ślimaków, było skąpo roślinności.

Nawet nasi oficerowie nie przyszli na obiad bo mocowali się z łodzią aż do kolacji.

Po drodze (holowania i przenoszenia łodzi) już zapadła decyzja aby nikomu o wyprawie nie wspominać- a przede wszystkim nic nie mówić Jankowi. On z pewnością znał własności tego jeziora i mógł mieć jeszcze dodatkową zabawę z naszej wyprawy łodzią po krzakach.

Wspominki wakacyjne

Stocznia Ustka niemal od samego początku istnienia miała swój własny ośrodek wczasowy koło Miastka w Świeszynie. Oj ile tam było pieczonych baranów.

Jednak aby popływać pod żaglami trzeba było odremontować strasznie zawsze zniszczoną sezonem żaglówkę. Po dwóch czy tam trzech sezonach zadbałem o własny sprzęt i jeździłem z rodziną do środka lasu nad jezioro Bobięcińskie.

Wspomnienie pierwsze

Na wybranym miejscu zwanym przez tubylczą ludność (czytaj stałych letnich gości) Lazurowym Wybrzeżem, spotykali się starzy znajomi, od lat tu właśnie rozbijający namioty. Jeden zwłaszcza potrafił opowiadać kawały i opowiadać je bez końca.

Nie będę tych kawałów wszystkich przytaczał, natomiast opowiem kilka, wtedy pułkownika (był dowódcą warsztatów wojskowego lotniska w Bydgoszczy), anegdot indyjskich.

Pierwsza indyjska anegdota

Polacy wygrali przetarg na opracowanie technologii i jej wdrożenie w Indiach dla wyposażenia samolotu FD-3. Obok dowództwa więc głównie pojechali tam ludzie o wysokich kwalifikacjach technicznych- praktycy, o różnych stopniach wojskowych. Posiłki w hotelu jedli Polacy wspólnie przy jednym stole. Tak się złożyło, że urodziny, które przypadły w tygodniu zostawały przesunięte na sobotę. Śpiewano przy tym też „Sto lat, sto lat...” Hindusi- kelnerzy zarabiali też więcej bo i nie jedna butelka sphywała na stół.

Nagle, ni z tego ni z owego nie było żadnych urodzin w sobotę, nie było zatem ucztu specjalnej a normalna kolacja. W miarę jak czas kolacji płynął, alkoholu nikt nie zamawiał, Hindusi byli coraz to bardziej wybici z tropu.

W końcu wychylił się kierownik sali i pyta: A dzisiaj nie ma SZOLA, SZOLA? (czytaj: STO LAT, STO LAT...).

Wspomnienie drugie

Na przyjęciach oficjalnych istniał podział między odpowiednie szarże. Osobno bawili się oficerowie, osobno podoficerowie.... Zawsze było kilka toastów- do wypicia była szklanka pączu (czytaj ok. 100 g spirytusu). Wspomnieć trzeba, że było gorąco i wilgotno. Dość szybko więc trzeba było coś przedsięwziąć aby zaraz się nie użynać. W bufecie była samoobsługa więc znaleźliśmy odpowiedni sok (czytaj mający kolor pączu) i dalej już sami wznosiliśmy toasty i szklankę wypijaliśmy do dna. Ale co trzecią jednak napełnialiśmy pączem.

W pewnym momencie dostaliśmy informację, że jeden z podoficerów tak się urznął, że położył się na środku sali i nie pozwala się dotknąć bo na każdą interwencję gryzie i kopie.

Poszliśmy tam i dowódca go przekonał aby pozwolił się odnieść do pokoju. Pozwolił się odnieść do pokoju lecz każda próba aby mu zdjąć spodnie kończyła się fiaskiem. Walczył jak lew i spodni nie można z niego było zdjąć. Machnęli więc ręką, położyli go do łóżka w spodniach.

Następnego dnia się wyjaśniło- w spodniach miał kieszeń na pieniądze. Miał zakodowane aby nie pozbawiać się spodni.

Wspomnienie z Malmö

Wspomnienie, znowu Malmo, znowu żeglarze, początek lat 70- tych XXw. a może nawet i koniec lat 60- tych XXw.

Szwecja a w szczególności port w Malmo cieszył się wśród naszych stocznioowych żeglarzy dużym powodzeniem, od Malmo rozpoczynano prawie każdą podróż. To ciekawe, że każda załoga musiała przecierać jakby od nowa drogę, bo nie sporządzano raportów podróży i nie opowiadano szczegółów pobytu. Taka podróż była zatem podróżą w nieznane. Dlaczego tak było? Odpowiedź znają tylko ci co pamiętają czasy stalinowskie, odpowiedź znają tylko ci co uzyskali paszport lub książeczkę żeglarską w czasach stalinowskich- o Zachodzie jak o umarłym trzeba było mówić z przemyśleniem albo wcale nie mówić.

Wychodząc z portu w Ustce trzeba było przejść odprawę celną i odprawę straży granicznej, trzeba było mieć pozwolenie wyjścia- uzyskaną radio- telefonem. Dopłynęliśmy na redę Malmo i nastawiliśmy na odpowiedni kanał radiotelefon... no i czekamy, bo tu cisza radiowa, nikt nie rozmawia. Czekamy tak jedną godzinę, drugą godzinę. W końcu płynie jakiś rybak, wchodzi do portu. Od naszego przyścia na redę nikt nie rozmawiał na kanale kapitanatu w Malmo. Postanowiliśmy wejść do portu, bez zezwolenia. Weszliśmy do portu, postawiliśmy jacht obok innych jachtów przy kei, przycumowaliśmy i czekamy.... nikt się nami nie interesuje- dziwne, bardzo dziwne- mogliśmy chodzić dokądkolwiek chcemy, port nie był ogrodzony. Napotkany przechodzień poinstruował nas, że jeśli chcemy coś odciec to powinniśmy sami iść do biura celnego, które jest o tam. To co tu było nie mieściło się nam w głowach.

Prawdziwym jednak szokiem stało się przyście do portu trałowca Szwedzkiej Królewskiej Marynarki. Przycumował trałowiec blisko nas, też nic nie mówiąc przez radio. Było to coś koło dziewiętej. Marynarze stali przy relingach i oficerowie też stali przy relingach i rozmawiali sobie z tymi co stali na nabrzeżu. Na nabrzeżu przeważała płeć piękna. Z pewnością były to zwyczajne dziewczęta. Wynikiem tych rozmów było to, że dobierali się w pary i od czasu do czasu marynarz i dziewczę zniknęło gdzieś w czeluściach okrętu. Pragnę dodać, że marynarze mieli w przeważającej części długie włosy. Szok, szok i zgorzienie odbijało się na naszych twarzach- tego przecież opowiedzieć w Polsce nikomu nie możemy. Opowiedziałem to wszystko mojemu koledze w Polsce dopiero trzydzieści lat później.

Wspomnienie z zimnej Moskwy

Często, oj często jeździłem do Moskwy w sprawach, rzecz jasna służbowych. Nic w tym nadzwyczajnego bowiem znałem bardzo dobrze język rosyjski i pracowałem w biurze projektowym Stoczni Ustka. Stocznia była dostawcą wyrobów głównie w eksporcie do ZSRR.

Bywałem w Moskwie o każdej porze roku. Byłem kiedyś zimą. Wyszedłem na ulicę idąc do hotelu, moje przejście trwało ledwie kilka a może nawet kilkanaście minut. Miałem odpowiednią czapkę ale nie przykryłem uszu. Jak tylko wszedłem do hotelu to pani w recepcji zaczęła krzyżeć abym nie dotykał uszu. Prosiła abym przejrzał się w lustrze, z moich uszu wystawały kolce lodu- podobne kolce mają jeże, tyle że nie z lodu. Gdybym dotknął ucha to ono mogłoby się złamać- tak twierdziła pani z recepcji, a ja nie zaryzykowałem. Do dzisiejszego dnia mam całe, nie odłamane uszy.

Wyjazd do Moskwy

Była to delegacja do Moskwy w sprawie zamienników w roku bodaj 1989. Organizowało wyjazd Centrum Techniki Okrętowej w Gdańsku lecz z racji funkcji w przemyśle głównym organizatorem był jednak Centromor.

Miejscem spotkania był ekspres- pociąg wyjeżdżający z Gdańska do Warszawy bardzo wcześnie rano, na tyle wcześnie, że w Gdańsku nie kursowała żadna komunikacja- dojechałem do dworca w Gdańsku rowerem a rower zostawiłem u wujka, który mieszkał blisko dworca.

Spotkaliśmy się wszyscy bez problemu w tym pociągu, mieliśmy rezerwację miejsc dokonaną przez Centromor i wcześniej poinformowano nas z Centromoru jakie mamy miejsce. Było tak wcześnie, że nikomu nie przyszło do głowy pić wódki ani żadnych takich. Jak dojechaliśmy to z dworca Centralnego Warszawy pojechaliśmy taksówką na Okęcie. Tu to co innego, w barze przez te dwie godziny czasu spędziliśmy 99% tego czasu. Po wystartowaniu samolotu poza zwykłym poczęstunkiem wypiliśmy na początek winiak- od kierowniczkii delegacji pochodzący. Jest to ostatnia otwierana butelka, jaką sobie przypominam z tej delegacji. Pamięć wróciła mi dopiero przed Warszawą, gdy wracaliśmy pociągiem ekspresowym Moskwa- Warszawa.

Za krótkie nity

Znamieniem tamtych, całkiem nie odległych, czasów było szukanie wroga klasowego i szukanie ludzi uprawiających sabotaż. Zarówno jedno jak i drugie przestępstwo, którego udowodnienie opierało się często na zasadach polowania na czarownice było często spotykane. I tak za sabotaż groziła bardzo wysoka kara z karą śmierci włącznie.

Byłem wzięty jako świadek na milicję z podejrzanym o sabotaż technologiem, który rzekomo zamówił złe, bo za krótkie, nity do nitowania poszycia łodzi aluminiowej. Takie nity ciężko było dla stoczni kupić a przecież na jedną łódź wchodzi kilkaset nitów. Były to nity z łbem kulistym z jednej strony i zespalając dwie blachy należało zakuć nit po wprowadzeniu w powiercony otwór w blachach. Jeden z robotników powiercił otwory w blachach przychodzących na zakładkę i okazało się, że nity są za krótkie, bo nie ma, jak zakuć nit, bo jest zwyczajnie za krótki.

Od razu wiedziałem o co chodzi, trzeba było jeszcze przekonać milicjantów o niewinności technologa. Tak więc poprosiłem o kartkę, ołówek i liniał czy ekierkę. Znalazła się ekierka i poprosiłem jednego milicjanta, aby narysował trzy równoległe linie oddalone o 8 mm- obrazowało to blachy przylegające do siebie. Następnie poprosiłem, aby narysował otwór w blachach, otwór, który był prostopadły do powierzchni blach i drugi otwór skośny do powierzchni blach. A następnie poprosiłem, aby zmierzył długość otworów w blachach.

Oczywiście ten skośny otwór wymagał dłuższego nitu. Ten jeden z milicjantów aż kręcił głową jak to może być i ponownie mierzył dwa otwory. Jakkolwiek technolog został zwolniony z zarzutu. Robotnik jednak nie został obciążony za złą robotę, za krzywo wywiercone otwory.

Gdy wyszliśmy z komisariatu technolog ściskając mi rękę wyrażał swoją wdzięczność, faktycznie miał czego się bać, słowem uszedł z życiem.

Ze Słowacji, wspomnienie pierwsze i moje ostatnie

Nastał kapitalizm. Z Czechosłowacji powstały dwa państwa- Czechy i Słowacja. No a u nas w Stoczni Ustka zamierała produkcja. Z pieniędzmi było coraz trudniej. Mnie przeniesiono z nadzoru w produkcji do działu zakupów z importu- znałem bowiem parę słów po niemiecku, szybko się jednak uczyłem, gorzej było z nauką handlu międzynarodowego. Też tego wszystkiego uczyłem się w locie. Moim dyrektorem był mgr inż. Krzysztof Stasiński- ten to nawet po rusku nigdy nie gadał.

Trafiła mi się delegacja do Trnavy po zakupienie tam mat szklanych, które służyły u nas do produkcji laminatów, maty i tkaniny szklane to obok żywicy główny składnik laminatu. Te z Trnavy były tak samo dobre jak polskie ale i też te słowackie były dużo tańsze. Zaraz też awanturę urządził konstruktor od nas bo chciał jechać też do Trnavy- miał z nimi swoje uzgodnienia w sprawie mat i tkanin do techniki próżniowej. Chciał też jechać do stoczni w Komárno. Samochód, którym mieliśmy pojechać miał tylko dwa siedzenia z przodu, trzeba było dostawić jeszcze jedno siedzenie- właściciel firmy transportowo- spedycyjnej (kiedyś pracował w stoczni) dostawił stary fotel ze swojego mieszkania. Samochód to dwudziestoletni Volkswagen- dostawczak. Był jednak dobrze utrzymany i wszystkie ślady rdzy na karoserii były zaraz zamalowywane więc był w łąty.

Wyjechaliśmy rano o siódmej z Ustki. Był koniec marca i wspaniała pogoda, ciepło. W Toruniu wymieniliśmy złotówki na walutę słowacką, za maty płaciłem w gotówce więc kupiłem również marki do tej transakcji. Pojechaliśmy do Cieszyna, na przejściu granicznym w Cieszynie tyle się stało czasu co teraz na przejściach z Ukrainą. Koniecznie chciałem znaleźć się już w Słowacji na pierwszy postój aby mieć dobry start dnia następnego a tu padał śnieg, wiał silny wiatr i był mróz, jednak granicę udało się minąć zaraz po północy. Zatrzymaliśmy się przy pierwszym słowackim hotelu. Tutaj nas skasowali cztery razy tak wysoko jak powinni, jeszcze do tego wypisali tę kwotę na rachunku.

Pokój, a właściwie kibel przyległy wymagają osobnego omówienia. Już wcześniej przewidzieliśmy nasze potrzeby i zakupiliśmy w Toruniu alkohol, w ilości jaką można było bezkarnie przewieźć przez Czeską granicę. Na wszelki wypadek dokonaliśmy uzupełnień zaraz po przyjeździe, na dole w hotelowym barze.

Do rzeczy. Nigdy przedtem i nigdy potem takiego rozwiązania nie widziałem. Mieliśmy wspólny kibel i łazienkę z pokojem obok mieszczącym się w tym hotelu. Do kibla były dwa oddzielne drzwi, jedno z pokoju jednego a drugie z pokoju drugiego- trzeba było po wejściu do kibla zamknąć i zaryglować oba drzwi, następnie trzeba było przy wyjściu odryglować oba drzwi. Pokój sąsiedni zajmowało trzech rosnących Węgrów o podobnych zainteresowaniach spędzania wolnego czasu co i my. Węgrzy mówili tylko po węgiersku. Już po pewnym czasie droga z tymi drzwiami nam się myliła i tak samo myliła się Węgrom. Za dwa dni stwierdziliśmy ze zdziwieniem, że całkiem nieźle dogadujemy się w Komarnie po węgiersku z tam mieszkającymi Węgrami.